

— W trzecim plutonie brak dwóch ludzi, Bolka i Orzona. Rano jeszcze wydali się z kwatery i nie wiadomo, co się z nimi stało.

— Jakto niewiadomo? Przecież podoficer musi wiedzieć, co się z nimi stało. Na wartę może poszli?

— Teraz właśnie dopiero mieli iść, szukaliśmy po całym mieście, nigdzie ich niema..

— Może ich patrol aresztowała, za miasto chcieli może wyjść, a nie mieli przepustek.

— Nie, obywatelu plutonowy. Niema ich w areszcie.

— Gdzieś do dyabła muszą być. Trzeba ich wyszukać, a tymczasem kogo innego na ich miejsce na wartę wysłać.

— Według rozkazu! — odparł Sroka, wyciął obcasem w tył zwrot i oddalił się pospiesznie.

— No, nareszcie skończę! — szepnął do siebie oficer dyżurny, zabierając się do ukończenia raportu.

Spisał nazwiska dyżurnych, ukończył raport, z zadowoleniem rozparł się na krześle, podkręcając kielującego dopiero wąsika i czekał cierpliwie zmiany dyżuru.

Za drzwiami doszedł go jakiś szmer, sprzeczkę ktoś prowadził z dyżurnym.

— Co jest tam? — krzyknął — Hej dyżurny! Dyżurny wbiegł do pokoju, mówiąc:

— Ten mały Bączek chce koniecznie, abym go wpuszczał do pokoju inspekcyjnego. Tłumaczyłem mu, żeby zaczekał, aż przyjdzie zmiana, gdyż dyżur teraz właśnie się zmienia, a on się napiera, że koniecznie musi wejść zaraz, gdyż ma bardzo ważną sprawę.

— Co za sprawę?

— Mówi, że jeńców do niewoli wziął.

— Kto? — zaśmiał się plutonowy.

— Że on wziął!

— Wpuścić go! Wpuścić! Bączek jeńców wziął. Pewnie jakichś chłopaków wiejskich.

Zamaszyście wszedł do pokoju Bączek, uwalany od stóp do głowy gliną i zaraportował:

— Melduję posłuszenie, obywatelu plutonowy, czterech kozaków do niewoli wziąłem.

— Kto? Ty? — ze śmiechem przerwał mu oficer.

— Tak! ja! — z dumą odparł.

— Chyba malowanych.

— Nie, obywatelu! Żywych.

— Ha! Ha! To dobrze! Doskonale! Bączek do niewoli czterech kozaków wziął. A gdzie ty ich masz. W kieszeni na fotografii.

Urażonym wzrokiem spojrzął Bączek na oficera, twarz mu się skurczyła od gniewu i odparł szorstko:

— Nie w kieszeni na fotografii, ale żywych przyprowadziłem. Na podwórzu czekają, Bolek i Ordon ich pilnują, zaraz ich wprowadzę.

— A no, wprowadź! — niedowierzająco przemówił plutonowy. — Zobaczmy, co to za jeńcy.

Wybiegł szybko, za chwilę drzwi się na oścież rozwarły. Kozak, olbrzymie chłopisko, obrośnięty jak niedźwiedź, do pokoju się wtoczył, Bączek za prawe ramię jego się przyczepił i tak obaj stanęli w pośrodku Kozak dwa razy większy od Bączka, olbrzym naprzeciw tego małoluda. Za nimi trzej inni, a w końcu zaginiony żołnierz z trzeciego plutonu Bolek i Ordon, z nasadzonymi bagnetami na karabinach.

— Tyś ich do niewoli wziął? — spytał zadziwiony plutonowy.

— Tak! Ja i dwaj moi koledzy: Bolek i Ordon.

Plutonowy spisał protokół, jeńców kazał warcie odprowadzić do komendy placu, a sam koło Bączka stanął, poklepał go po ramieniu i przemówił:

— Opowiedzno, Bączku, jak to było!

— Zaraz wszystko opowiem, tylko papierosa zapalę, bo mi się strasznie palić chce.

Plutonowy W. wyjął papierosnicę, poczęstował papierosem i poprosił, aby usiadł i opowiedział mu dokładnie.

Ledwie usiedli, zmiana dyżuru nastąpiła, ale po oddaniu służby natychmiast rozparł się Bączek na krześle i począł opowiadać:

— Dziś rano spotkałem się z Bolkiem i Ordonem. Zaczęliśmy rozmawiać i w końcu zaproponowałem, abyśmy poszli do wsi zarekwirować coś do zjedzenia i wypicia. O drugiej popołudniu wymknęliśmy się z karabinami za miasto i jazda... buch do wsi. Weszliśmy do chałupy, prawie że ostatniej, co pod samym cmentarzem stoi i tam bycze towarzystwo napotkaliśmy. Dwie ładne dziewczyny, matka i chłopak wiejski. Gospodyni wyciągnęła flaszkę z wódką i dalej z nią dokoła, gwara i śmiech, bo nam się języki rozplątały. Masłem chleb grubo posmarowała, a potem pyta się, czy będziemy jeść jajecznicę, to nam usmaży. My naturalnie z chęcią zgodziliśmy się na tą wielką prośbę gospodyni. Ogień wesoło zabłysnął na kominku, gospodyni natłukła

z pół kopy jaj i do ognia przystawiła, a my z córkami dalej rozprawiali o tem i o owem. Czas nam płynął przyjemnie i prędko, śmiechu i gadaniu nie było końca. Nagle wpada chłopak do izby i przełknionym głosem krzyczy:

— Uciekajcie! Uciekajcie! Kozaki idą!

Zerwaliśmy się piorunem, łap za karabiny, nabiliśmy i dalej co począc, naradzamy się. W izbie pozostać... źle, a według opowiadań chłopaka, lada chwila wpadną, zresztą niewiadomo, wielu ich jest. Tak gospodyni, niewiele myśląc, pokazała nam na strych. Buch jeden po drugim przez sionkę i po drabinie wio... na górę. Położyliśmy się na słomie, karabiny nabite obok nas i czekamy, co dalej będzie. Serce poczęło mi pukać, ale zdecydowany byłem na wszystko. Zresztą przypuszczałem, że to albo jaka zabłąkana patrol kozacka albo przednia straż, którą trzeba będzie dobrze wymacać i piorunem donieść komendzie. Bolek zdjął czapkę, ostrożnie głowę wychylił przez dymnik.

— Cicho — szepnął — czterech kozaków wali koło cmentarza prosto w tym kierunku.

— Wielu? — spytałem — czterech?

— A tak!

— E, to głupstwo! Damy sobie radę — odezwał się Ordon. — Poślemy im kilka pigulek i kwita.

— Nie trzeba — odrzekłem. — Lepiej ich do niewoli wziąć, byleby tylko cholery tu przyszli.

— Bczo! Bczo! — odparli — do niewoli.

Wychyliłem głowę. Kozunie już pod chałupą. Z koni zeskoczyli, do płota przywiązali. Potem z hałasem i krzykiem do izby wpadli, przerażonych domowników o „sokolików“ się pytają. Baba się przysięga, zaklina na wszystkie świętości, w końcu wyciąga wódkę i częstuje ich. Kozunie w chałupie się rozsiedli, karabiny zdjęli w sionce, zostawili. Naradzamy się, co zrobić. Drzwi od chałupy otwarte, każdej chwili skoczyć mogą. Za karabiny chwycić, gdyby spostrzegli, że schodzimy ze strychu. Trzebaby koniecznie sprzątnąć karabiny, rozbroić Kozuniów. Ale jak. Zejść z góry nie sposób, drzwi otwarte. Ale chłopak gospodyni przy koniach stanął i ogłą dać je począł. Wystawiłem łeb z dymnika, psyknąłem na chłopaka. Odwrócił głowę, popatrzył w naszą stronę. Na migi daliśmy mu znać, co ma robić. Drzwi od chałupy zamknąć, drabinkę nam przystawić. Chłopak pokreślił się trochę po sionce, podrapał po głowie i dalej drzwiami majstrować, jakby chciał je naprawiać. Przymknął je z trzaskiem, kamieniem począł skobel przybijać. Umówiliśmy się wtedy. Bolek i Ordon za okno z nabitemi karabinami, ja zaś we drzwiach stanę; zeszedł ostrożnie. Chłopak wali kamieniem w skobel, przybija i przybija. My łap za karabiny, za stodołę schowaliśmy. Z bijącym sercem rozstawiliśmy się. Bolek i Ordon pod okno poczęli się podkładać, ja pod drzwi.

Kozunie tymczasem, napiwszy się wódki, coraz bardziej poczęli się rozgospodarowywać w chacie. Klęli na gospodynię, o wódkę ustawicznie się dopominali i jajecznicy kazali sobie smażyć.

— Poczekajcie! — myślę sobie w duchu. — Damy my wam jajecznicę.

Czekałem na sygnał Orzona. Jeśliby za ten czas, kiedy oni zdołają się pod okno podsunąć, kozunie z chaty wybiegli, musiałbym sam rozpocząć „ofensywę“, a w każdym razie w karabinie pięć kul jest. Zresztą „rezerwa“ tuż lada chwila nadbieży.

Zaniepokoiło mię to, że tak długo Ordon nie daje umówionego sygnału. A tu kozunie podsunęli się bliżej drzwi, koło pieca. Chłopak coraz silniej wali kamieniem w skobel. Ręce mi drżą z niecierpliwości i niepewności.

Nagle gwizdnął Ordon. Był to umówiony sygnał. Wpadłem do izby krzycząc:

— Ręce do góry!

Zerwali się kozaki, a widząc w oknie dwóch i mnie we drzwiach z karabinem gotowym do strzału poddali się bez oporu, myśląc, że, Bóg wie, jaka siła nas tu przysłała. Prosił tylko, aby mogli zjeść jajecznicę, co gospodyni dla nich smażyła. Za ten czas chłopak od gospodyni poleciał do komendy i warta przyszła zabrać jeńców. Tak ich tutaj przyprowadziliśmy, no... i koniec.

Z zainteresowaniem przysłuchiwali się opowiadaniu Bączka, a w końcu oficer W. powiedział:

— Dobrze! Dobrze chłopcy! Batalionowemu zdam raport o was. Ale karę dostaniecie także. Bez przepustki włożycie się gdzieś. Ordon i Bolek mają mieć teraz wartę. Co za porządek. Staniecie do raportu batalionowego. Kto wam pozwolił się włożyć po wsiach! He!... he!... poczekajcie ptaszki... jutro będziecie śpiewać inaczej... — śmiał się oficer dyżurny.

Na drugi dzień przy raporcie batalionowym wszyscy trzej zostali mianowani podoficerami, ale

równocześnie ukarani trzechdniowym aresztem za złamanie dyscypliny.

Taki to Bączek był...

* * *

W grudniu spotkałem go w Jabłonkowie z nierozłącznym sztucerem na plecach. Szedł do komendy placu. Zmężniał, rozrósł się, z małego chłopca począł się przerabiać żołnierz silny, wytrwały, zahartowany. Twarz nabrała już więcej męskości i hartu, tak jak gdyby przez te kilka miesięcy lat mu przybyło tak fizycznie, jak też i duchowo. Tylko oczy jeszcze bystrzej na świat patrzyły. Niktby nie uwierzył, patrząc na niego, że to ten sam Bączek, który dzieckiem prawie będąc, na wojnę się wybrał, tak wyrósł i zmężniał. Mundur miał nowy na sobie, płaszcz również, tylko czapka strzelecka ta sama, teraz poszarpana, zniszczona przez deszcze.

Żołnierz już z niego prawdziwy się stał, silny, zahartowany.

Któryś ze znajomych, poznawszy go, przywitał:

— Jak się masz Bączek? Żyjesz? He!

— Baczność! Nie wiecie, z kim mówicie. Patrzenie na ten zielony sznurek. Wiecie, co znaczy?...!

— Pardon. panie podoficerze! Nie wiedziałem nic a nic o randzel!

— A tak, mam już rangę. A nawet i konika mam. Zobaczycie, jaki ładny. Tylko przyjdźcie na kwaterę do mnie. Na koniku teraz jeżdżę... He... He... He!...

Zaprosił nas na herbatę do restauracji. Usiedliśmy przy stole, Bączek zamówił przekąskę dla siebie i dla nas herbatę.

I poczęły się opowiadania o tem, co się przeszło, co widziało. Jeden drugiemu wywnętrzał się ze swoich planów, co w przyszłości, po wojnie będzie czynił — o ile naturalnie dożyje. Z tematu na temat rozmowa zesła i o rodzinach naszych, które pozostały przeważnie w miastach zajętych przez nieprzyjaciela. Kombinowaliśmy rozmaite rzeczy.

Bączek przysłuchiwał się tej rozmowie, przytem westchnął głęboko.

— Cóż wam jest? — spytałem go.

— Nic!...

— Jakto nic!? A czemu tak wzdychacie.

— O rodzinie myślę! Nie wiem, co z nią słychać. Od sierpnia nic a nic nie wiem o nich.

— A gdzie byli?

— W Jarosławiu!...

— Nie wiem... — mówił dalej — co z nimi się stało, co się dzieje. Może zginęli, może gdzieś poniewierają się, martwią się o mnie.

Wywnętrzył się przed nami, otworzył swoją duszę. Oto kiedy rozeszła się pogłoska o wojnie z Rosją i Legionach, koniecznie się napierał, aby iść także. Ale rodzice jego, bogaci kapitaliści w Jarosławiu, sprzeciwiali się temu zamiarowi, że za młody i za szczupły. Tak też pewnego dnia spakował manatki, cichaczem wysunął się z domu, pieniędzy trochę uskładanych poprzednio ze sobą wziął, kupił bilet do Krakowa.

Jednak rodzice spostrzegli nieobecność jego i domyślając się, co zamierza zrobić, przybiegli na dworzec kolejowy w chwili, kiedy pociąg już odjeżdżał ze stacji. Wychyliwszy głowę z wagonu zobaczył ostatni raz matkę swoją zapłakaną, stojącą na peronie, z rozpaczą spoglądającą w stronę odjeżdżającego pociągu.

— Tak mi przykro nieraz i smutno — kończył — zem się ani z rodzicami nie pożegnał, nie uprosił ich, aby mi pozwolili iść.

Umilkł, zadumany spoglądał w okno. Poczęliśmy go pocieszać, żeby się nie martwił zbytecznie, że, da Bóg, po wojnie odszuka rodziców, a wówczas oni z pewnością chwalić go będą i cieszyć się ze swojego syna.

— Jestem przekonany, że oni są w Jarosławiu! — przemówił po chwili. — Tylko o to się lękam, aby ich Moskale nie zabili, bo te dranie na nic nie zważają. Mam zamiar postarać się o jednomiesięczny urlop, aby dostać się do Jarosławia.

— Jakto chcielibyście dotrzeć teraz do Jarosławia?

Mam taki zamiar!

Poczęliśmy mu odradzać, aby skwitował z tego zamiaru, ale on tylko uporczywie głową potrząsał.

— Wy wiecie swoje! Ja wiem to, co mnie boli!

Po wypiciu herbaty rozeszliśmy się, pożegnawszy serdecznie. Uściskał nam gorąco dłonie i szybkim krokiem pomaszerował na kwaterę.

* * *

Nie widziałem go już potem i nie wiem, czy zamiar swój wykonał, czy też do pułku wrócił.

